Nr. 2. Kraków, Luty 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i Administracya:
**Kraków,
ul.
Franciszkańska
L. 3.**

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU II-go:

Wojenna gromnica.

Posłuszna starozakonnemu prawu, „gdy się wypełniły dni oczyszczenia“, zaniosła Marya Dzieciątko do jerozolimskiej świątyni, by Je ofiarować Bogu.

A był tam starzec Symeon, „który odpowiedź był wziął od Ducha św., że nie miał oglądać śmierci, ażby pierwej oglądał Chrystusa Pańskiego“. Tchnięty Duchem św. starzec, ujął Dziecię na ręce i wzniósłszy oczy ku niebu, mówił w proroczem natchnieniu: „Teraz puszczasz sługę Twego Panie w pokoju, według słowa Twego, gdyż oczy moje, oglądały Zbawienie Twoje“.

— Ale owo Zbawienie ma się dokonać drogą ofiary. To też Symeon zwraca się do Matki Dzieciątka i mówi w proroczem uniesieniu: „A duszę Twą własną przeniknie „miecz“.

— „Na powstanie wielu, ma się dokonać ofiara Dwojga, Matki i Syna. Syn zgorzeje na krzyżu ofiarą krwi, a Matka spłonie ofiarą serca“.

Już wtedy, w dniu Ofiarowania, serce Jezusowej Matki płonąć poczęło tą ofiarą zadośćuczynienia. Ofiarując bowiem Dzieciątko Bogu, wiedziała Marya, iż Je ofiaruje na mękę i śmierć; wszak prorocy wszystko jasno przepowiedzieli o Jezusie, który miał być „pośmiewiskiem ludzkiem i wzgardą pospólstwa (Ps.

21, 7) i miał być „zranion za nieprawości nasze i start za złości nasze“ (Iz. 53, 2) tak, że „policzyli wszystkie kości Jego, a ręce i nogi przebodli“ (Ps. 21, 17).

Znała te straszne przepowiednie o Zbawicielu Jego Boża Matka i „duszę Jej przeniknął miecz już wtedy, gdy Go Dziecięciem na spełnienie krwawego posłannictwa Bogu ofiarowała.

Zbawienie świata dokonywać się poczęło ofiarą macierzyńskiego serca Maryi „w dniu Oczyszczenia“.

Pamiątkę tego dnia obchodzi Kościół św. uroczystością święcenia gromnic i procesyą ze światłem.

Stary to obrzęd, bo pogańskich czasów jeszcze sięga.

W dawnym pogańskim Rzymie obchodzono w miesiącu lutym, poświęconym czci bogini Junony, tak zwane „amburbalia“, albo „februalia“. Wśród tych uroczystości, obiegali kapłani z płonącemi pochodnimi w ręku ulice i pola i rozpalali niemi wielkie ogniska. Miało to oznaczać, według pogańskich wierzeń, „oczyszczenie“ miasta i okolicy.

Zwyczaj ten przechowywał się w Rzymie długo; obchodzono go niemal do V. wieku, aczkolwiek wtedy Rzym był już chrześcijański. Taka to już bowiem natura ludzka. Do wszelakiego zabobonu i tajemniczości ludzie lgną łatwo i silnie się do nich przywiązują, a o rozumowe ich uzasadnienie wcale się nie troszczą.

Bacząc na tę słabość ludzką w wielu razach przejął Kościół takie pogańskie zwyczaje, po chrześcijańsku je uzasadnił i uświęcił.

Tak też uczynił z owemi „februaliami“. Przeniósł cały obrzęd z ulicy do Kościoła, zamiast pochodni podał wiernym do rąk świece, a swawolny i hulaszczy pochód pogańskich kapłanów zmienił w poważną procesyę i w dniu Oczyszczenia N. P. Maryi całą uroczystość obchodzić kazał.

I tu dopiero nabrała cała uroczystość pełnego znaczenia.

Owe płonące świece bowiem, oznaczają Bogarodzicielkę Maryę, która płonąc ogniem najwyższej miłości złożyła Bogu największą Ofiarę ze Swego Syna, ku oczyszczeniu grzesznej ludzkości.

Te świece zowią się u nas „gromnicami“. Zapala je się bowiem wtedy, gdy „gromy“, czyli pioruny, czasu burzy bić poczynają i wtedy, gdy ów najstraszniejszy grom, śmierć, ma na człowieka uderzyć. Pobożny lud polski, paląc w tych wypadkach gromnicę, wierzy, że za przyczyną Tej, która płonąc ofiarą macierzyńskiego serca, przyniosła światu Zbawienie, potrzebującym z ratunkiem zawsze pospieszy.

*

Zerwała się dzisiaj wojenna burza. Biją śmiercionośne gromy, ludzką ręką miotane i krocie tysięcy ludzi umiera. A najstraszniej to nad polską ziemią ta burza szaleje. Tu najwięcej owych gromów pada i tu najwięcej trupa się ściele.

Zdałoby się nad tą ziemią śmierci jaką wielką gromnicę zapalić...

Zapaliły się już wyroki Boże. Gromnicznym płomieniem gorzeje cała polska ziemia. Nasiękła krwią, przez długie wieki w obronie wiary św. toczoną — a przeto świętą, jak owa kościelna świeca płonie polska ziemia ogniem ofiary, ku „oczyszczeniu“ narodów.

Oby jeno dobry Bóg tę ofiarę przyjął i ową świętą służebność biednej Polsce poczytał.

Ojciec św. do biskupów polskich w Galicyi.

W ostatni dzień starego roku Arcybiskupi i Biskupi polscy w Galicyi, na adres wysłany do Ojca św. otrzymali z Watykanu następującą odpowiedź:

Czcigodnym Braciom
Arcybiskupom i Biskupom Galicyi
Benedykt PP. XV.

Czcigodni Bracia
Pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo.

Ze wspólnego waszego listu płynie ku Nam tosamo przykładne przywiązanie i cześć, która — jak Nam wiadomo — wyróżnia nie tylko biskupów ale i duchowieństwo całe i lud katolickiej Polski. A nie myślcie, Czcigodni Bracia, jakobym w miłości i oddaniu chciał się wam dać wyprzedzić. Oddawna bowiem tkwi w mej duszy umiłowanie narodu waszego zgoła osobliwe, które dziwnym sposobem wzrasta teraz, na widok tych licznych a ciężkich nieszczęść, co was skutkiem tej wojny już prawie przygniotły. Zwróciły one, jak wiecie, ojcowskie me ku wam współczucie i nad jednem tylko boleję, że czynna pomoc z mej strony nie mogła dorównać wszystkiemu, czego całem, gorącem sercem wam życzę. Atoli nie ustaję nigdy w modłach moich do Boga nieprzebranego w miłosierdziu, aby wam, Czcigodni Bracia, i całej Polsce z pomocą pospieszyć raczył, by i gorycz dni teraźniejszych złagodził i wszystkie słuszne pragnienia wasze zaspokoił.

Błogosławieństwo apostolskie, które wam wszystkim, Czcigodni Bracia, jak i Duchowieństwu i oddanemu waszej pieczy ludowi, miłościwie w Panu udzielamy, niechajże wam będzie łaski i opieki Bożej poręką a mojej życzliwości dowodem.

Dan w Rzymie u św. Piotra 10. grudnia 1915. w drugim roku Naszego Pontyfikatu.

Benedykt PP. XV.

Stanowisko Stolicy Świętej.

Całemu światu wiadomo, że Papież Benedykt XV. czynił nieustanne starania i zabiegi, ażeby światu zawikłanemu w straszną wojnę przywrócić pokój. Zaraz na początku swoich rządów — które rozpoczął wkrótce po wybuchu wojny — wydał encyklikę, w której wskazał na przyczyny powszechnego zamieszania, wojen i w której wzywał narody, ażeby zaprzestały walk a na drodze pokojowej załatwiły wszystkie spory. — Niedługo potem zarządził po całym świecie modlitwy błagalne o pokój i sam nawet ułożył piękną modlitwę do Najśw. Serca P. Jezusa o uproszenie pokoju. — W rozmowach często oświadczał, że kraje neutralne, a zwłaszcza Ameryka, przyczynią się do przywrócenia pokoju. — To znowu zwrócił się do wszystkich rządów państw wojujących, ażeby wypuściły do domu jeńców ciężko pokaleczonych i niezdolnych do dalszej walki, co mu się udało od tych rządów uzyskać. — W rocznicę wybuchu wojny wydał znowu gorące wezwanie do panujących i władców i zaklinał ich na miłość Boskiego Zbawiciela, ażeby zatamowali straszny rozlew krwi.

I tak ciągle i ciągle słychać było o niezmordowanych zabiegach pokojowych Papieża.

Jednakowoż można było zauważyć, że w ostatnim czasie, a zwłaszcza w ubiegłej jesieni mniej było słychać o usiłowaniach podejmowanych przez Papieża celem przywrócenia pokoju. Istotnie Ojciec św. mniej działał w sprawie pokoju.

Stało się to jednakoż z głębokich przyczyn. O powodach tego dowiedział się niedawno świat cały z alokucyi Ojca św., czyli z uroczystej mowy, którą Papież wygłosił w miesiącu grudniu na Konsystorzu. Taka alokucya posiada taksamo doniosłe znaczenie, jak mowy tronowe wygłaszane w parlamentach przez panujących. Otóż w swojej alokucyi powiedział Ojciec św. Benedykt XV.: „Chociaż próbowaliśmy wszelkich środków, żeby jakimś sposobem przyspieszyć zawarcie pokoju i zażegnać niezgodę, toczy się przecież dalej ta wojna nieszczęsna na lądzie i morzu. Pismo nasze do narodów, prowadzących wojnę i ich zwierzchników nie osiągnęło oczekiwanych skutków zbawiennych“.

Oto są wyłuszczone przyczyny! Głos Papieża nie znajduje takiego posłuchu, jaki wszędzie znaleźć powinien.

Mimo to wszystko Ojciec św. wskazuje drogę do pokoju. Mianowicie wtenczas możliwe będzie zawarcie pokoju, jeżeli strony wojujące nie będą stawiać „warunków i żądań niesprawiedliwych i niemożliwych do przyjęcia“.

Ojciec św. żali się, że nie posiada tej wolności, jaką posiadać powinien jako najwyższy i niezależny Zwierzchnik wielkiego królestwa Chrystusowego, liczącego 300 milionów dusz. Bo istotnie w czasie tej wojny dopiero pokazało się, że Papież w swojej wolności skrępowany jest zarządzeniami Rządu włoskiego i nie może z całą swobodą porozumiewać się z katolikami całego świata. Pokazuje się, że ustawy gwarancyjne, które wydał Rząd włoski po zaborze Państwa kościelnego, są niewystarczające.

Ojciec św. spodziewa się, że po skończeniu wojen w przyszłym pokoju rządy zapewnią większą wolność i niezależność od Rządu włoskiego Stolicy Apostolskiej.

Lecz wrogowie Kościoła i Papieża nie przestają i podczas wojny knuć swoich zdradzieckich planów. Oto niedawno doniosły telegramy, że Rząd włoski pod tym warunkiem przyrzekł do końca wojny popierać Anglię i razem prowadzić wojnę, że sprawa Stolicy Apostolskiej nie będzie zupełnie omawiana w obradach pokojowych. Widać w tem rękę masoneryi, ziejącej nienawiścią do Kościoła katolickiego. Naturalnie, że protestancka Anglia zgodziła się zapewne na ten warunek, ażeby tylko uzyskać pomoc wojskową od Włoch.

Widać więc z tego, jak trudnem jest położenie Stolicy Apostolskiej w czasie wojny.

Ale dochodzą też pocieszające wiadomości. Oto niedawno doniosły telegramy, że przedstawiciele szlachty rzymskiej przybyli licznie do Ojca św. i złożyli Mu życzenia noworoczne i wyrazili Mu swoją cześć i przywiązanie. To zdarzenie posiada wielkie znaczenie i podnosi bardzo powagę Stolicy Apostolskiej. Z tymi objawami uczuć katolickich musi się liczyć Rząd włoski i wroga masonerya.

Boski Zbawiciel znajduje więc zawsze sposoby i środki, ażeby swój Kościół zachować bezpiecznie wśród burz i kataklizmów.

Dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia w czasie wojny.

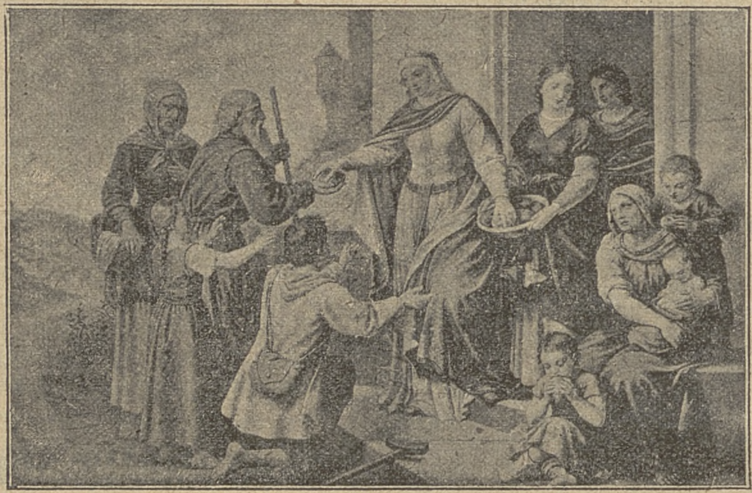
„Głodnych nakarmić.“

„Gdy Aniołowie gniewu Bożego wylewają na kraje i narody stągwie pomsty Bożej, widzimy tam i innych aniołów, w jasnych szatach, kroczących ze światłem miłości po niwach, krwią nasyconych. Są to „Samarytanie“, wynoszący padłych w boju wojowników z pośród kul na miejsca opatrunkowe: są to „Aniołowie Miłosierdzia“, którzy czułą ręką pielęgnują rany i z radosnym uśmiechem odejmują sobie od ust pokarm i napój, aby posilić nim wycieńczonych; jestto kapłan, kładący na język umierających żołnierzy Ciało Tego, który Sam stał się ofiarą śmierci w straszliwej walce na Golgocie. Są to ofiarne dusze, które z dalekiej ojczyzny swojej nadesłały oszczędności swoje, aby pomódz nam do usunięcia najkonieczniejszych potrzeb. I patrzcie! Oto czas najciemniejszy staje się najjaśniejszym przez ogień świętej miłości chrześcijańskiej“.

Tak pisał w liście pasterskim na rok 1915. Ks. biskup wrocławski.

Dzięki chrześcijańskiemu przykazaniu miłości bliźniego w dniach nienawiści, zemsty i strasznego mordu, duch miłosierdzia wszędzie się objawia i karmi głodnych, poi spragnionych, bezdomnych gości, przyodziewa nagich, chorych opatruje, opiekuje się jeńcami, poległych grzebie. Tak każe wiara chrześcijańska i tak czyni dziś świat cały. Snać ten czynnik chrześcijańskiego miłosierdzia, pogańskiemu światu zupełnie nieznany, głęboko przeniknął dzisiejsze społeczeństwa.

W tym czynie miłosierdzia, na czele, jak zawsze, kroczy Kościół św. — Jak czuła matka wgląda wszędzie, gdzie jeno jęk boleści posłyszy i śle sługi swoje z pomocą potrzebującym. A iluż kapłanami orędownikami i przyjaciółmi ludu strapionego może się poszczycić dzisiaj Polska? Najdziesz ich w każdem niemal miasteczku i w każdej wiosce, którędy jeno pożoga wojny przeszła. A na czele tego chwalebnego zastępu stoją wielkoduszny „Żywiciel głodnych“, książę biskup krakowski, Adam Sapieha i Namiestnik Chrystusów w Rzymie, Ojciec św. Benedykt XV.



Trzy nazwiska.

Wyszła świeża gazeta...

Obok różnych wiadomości, podawano w niej nową listę strat.

W całej liście były tylko trzy polskie nazwiska:

Kazimierz Różański, oficer, Stanisław Wojtycz, jednoroczny ochotnik i Jan Toporek, żołnierz.

Trzy nazwiska; nic więcej!

Ten i ów przeczytał i ramionami tylko wzruszył. Wszak tyle tych nazwisk poległych dzisiaj się czyta....

A jednak ileż to bólu i serdecznej męki te trzy krótkie nazwiska w świat niosły!

* * *

W pięknym salonie jednego z najbogatszych domów miasta siedziały trzy osoby. Oparta na poręczy krzesła, z twarzą ukrytą w dłoniach, młoda kobieta gorzko płakała. Tulił się do niej dwunastoletni chłopczyna i także płakał. Obok siedział stary, siwy pan. Choć na zewnątrz spokój zachował, ciężką jednak i on boleść przeżywać musiał; świadczyło o tem blade oblicze i ściśnięte usta. Snać z wielkim wysiłkiem nad sobą pracował.

„Nie płacz, córko — mówił stary pan, do zawodzącej kobiety. On padł, jak na bohatera przystało! Otrzyj łzy! Nie zapominaj, żeś była żoną żołnierza... Uspokój się i ty chłopcze! Bądź dumnym z ojca — bohatera i o to jeno się staraj, byś wyrósł jemu podobny!“

Aliści nie wiele snać słowa starca płaczącym ukojenia dały, bo jeszcze rzewniej załkali, a i jemu samemu łzy się zakręciły.

* * *

Nic takiej ulgi cierpiącemu sercu nie przynosi, jak łzy, gdy obficiej pocieką. Wiedziała o tem pewnie stara wdowa, gdy jej dwudziestoletnia córka, w niepohamowanej żałości za poległym narzeczonym, jednorocznym ochotniku, wśród potoku łez, głośno na swe nieszczęście wyrzekać poczęła.

— Czemu mnie jedną, z pośród tysięcy, ten cios dotyka? Czemu mnie właśnie — wyrzekła córka.

Próbowało biedne matczysko na różne sposoby uspokoić córkę, ale daremnie. Zostawiła ją przeto łzom własnym, słusznie sądząc, iż te najlepiej jej boleść ukoją.

* * *

W nawpół piwnicznej izdebce, co małe okienko równo z ziemią miała, siedziała samotna kobieta. Szeroko rozwarte oczy patrzyły błędnie, gdzieś przed siebie, nawpół otwarte usta zdawały się o coś pytać, jeno stare, spracowane ręce, założone w krzyż na piersi mówiły: „bądź wola Twoja“!

Syn zginął matce — staruszce; syn — jedynak. Właśnie sąsiadka przyniosła jej tę wiadomość, bo słyszała, jak w sklepiku w gazecie o tem czytali.

Zginął Janek, zginął... Tyle tylko wyszeptać zdołała starowina — i siedziała niema, napół skamieniała... Nie płakała jednak; bo też płakać już nie mogła; jej wszystkie łzy już dawno wyciekły. Mało się to nabiedziła w życiu? mało to łez wylała na męża, pijaka, mało to dzieci pochowała, a ten jedynak, co jej się na podporę starości został, mało jej łez kosztował. Przecież to najmłodszy i jedynak, a tyle biedy przeszedł!

Ot i teraz! Zabili go, gdzieś daleko, w obcych krajach, ni mu oczu na wieczny sen zamknąć, ni ręce w krzyż złożyć, ni do grobu odprowadzić...

Starowina westchnęła głęboko i dalej przemyśliwała o swojem życiu.

Gdzie było trochę szczęścia, gdzie trochę słońca?

Nie znalazła nic.

To znaczy...w ostatnich latach... tu zdawało się, jakby i dla niej miało być lepiej. Jej syn Janek, który został kupcem, którego wszyscy lubili, zaczął ją wspomagać. Tylko dwa lata wojskowości miał przebyć, wtedy miały nastać dla nich obydwojga, dla matki i syna, lepsze czasy.

Teraz skończyło się wszystko.

Dlaczego jej się to stało — jej, która teraz nie ma człowieka na świecie?

I kiedy tak myślała, pokazały się znowu łzy w oczach — pierwsze po długich latach!

A równocześnie zdawało jej się, że jakiś łagodny i dobroduszny głos przemawia do niej, głos, pochodzący z dalekiego, lepszego świata, a w którem zdawało jej się poznać własnego syna.

„Uspokój się,matko“, zdawał się głos mówić, „i nie wierz, że jesteś opuszczona! Ja jestem przy tobie, ja, twój syn! I nie troszcz się o twój wiek! Tyle jest dobrych ludzi! A Bóg, który ci dotychczas pomagał, pomoże ci i nadal!“

Po tem odrazu okazał się piękny, pełen blasku spokój w jej sercu, a usta znowu szeptały: bądz wola Twoja“!

I czuła, że nie straciła swego syna, lecz prawdziwie pozyskała go na wieczne czasy!

* * *

A na ulicach, po domach, w piwnicach, wszędzie, wszędzie czytano trzy nazwiska: Kazimierz Różański, Stanisław Wojtycz, Jan Toporek i nikt o tem nie myślał, ile łez i bólu one w sobie kryją.

W sprawie tępienia pijaństwa.

Na zjeździe XX. Dziekanów, który odbył się w Krakowie, w jesieni 1915 r., obmyślano nowe sposoby, jak zwalczać pijaństwo.

Mianowicie postanowiono dołożyć wszelkich starań, istniejące na wszystkich naszych parafiach Bractwo wstrzemięźliwości przejąć nowem życiem, a mianowicie w każdej parafii dwa razy do roku tak w święto patronalné tegoż bractwa, jakoteż w inne święto dowolnie wedle okoliczności wybrane, ma być wygłoszone kazanie na ten temat. Członkowie bractwa mają składać się na świece, które nosić będą przy nabożeństwach uroczystych. Co miesiąc ma się odbywać krótkie nabożeństwo dla bractwa wstrzemięźliwości, przy którem należy sprawdzić listę członków i nowych zapisywać. Gdyby się zdarzyło, że który z członków nie zachowuje ustaw bractwa, należy go upomnieć i wykreślić z listy członków. Należy też baczyć na to, żeby w innych bractwach kościelnych nie było członków oddających się pijaństwu.

Poradną też jest rzeczą zaprowadzić już w szkole bractwo „Anioła Stróża“ lub też róże różańcowe w tym celu, by dzieci zobowiązać do nieużywania trunków palonych.

Należy też baczną zwracać uwagę na to, ażeby członkowie Straży pożarnych byli ludźmi trzeźwymi.

W stowarzyszeniach, bractwach kobiet, różach dziewcząt należy też często zwracać uwagę na ten szkodliwy nałóg, któremu też kobiety niekiedy podlegają. Kobiety powinny uważać, by przy uroczystościach domowych nie podawano wiele trunków.

Takie to sposoby obmyślano lub przypomniano, ażeby zwalczać pijaństwo.

Jeżeli też będzie zachowywana i ściśle przestrzegana nowa ustawa, wydana przez Namiestnictwo, ograniczająca sprzedaż napojów alkoholowych, to w takim razie należy się spodziewać, że to wszystko zdusi nieszczęsną hydrę pijaństwa.

„Królowo Pokoju módl się za nami!“

Wiadomo powszechnie, jak wielkiem nabożeństwem do Najśw. Maryi Panny odznacza się Papież Benedykt XV. — Ojciec św. spodziewa się przez przyczynę Najśw. Bogarodzicy wyprosić u Boga upragniony pokój.

Dlatego też znowu niedawno Ojciec św. pozwolił w Litanii loretańskiej dodawać po wezwaniu „Królowo Różańca św.“ inwokacyę „Królowo Pokoju, módl się za nami!“

To palec Boży.

W. ksiądz Carron będąc w Rennes, nawrócił za pomocą Bożą pewną młodą osobę życia występnego. Spólnik jej występków zapalił się szalonym gniewem i postanowił X. Carrona zgładzić ze świata. Przybrał sobie tedy kilku równie zepsutych młodzieńców i uknuł z nimi spisek na życie cnotliwego kapłana. Przychodzą doń tedy młodzieńcy i proszą, aby się udał na miejsce, odległe od miasta i wyspowiadał człowieka, który został raniony w pojedynku.

Kapłan poszedł, nie domyślając się niczego. Wchodzi tedy sam do pokoju, gdzie ów młodzian, co uknuł spisek, leżał na łóżku. X. Carron zbliża się do łóżka i widzi tego nieszczęśliwego bez życia, trzymającego nabity pistolet w ręce. Woła tedy jego towarzyszy, którzy czekali wcale innego końca tej sceny. Można sobie wystawić ich przerażenie; ten, co chciał kapłana zabić, sam teraz leżał martwy! Przerażeni widokiem tak oczywistej kary Bożej, padli do stóp męża Bożego i uczynili serdeczną spowiedź.

ZŁOTE MYŚLI.

Co człowieka wzbogaca?
— wiara — rozum — i praca!
(Przysłowie).

O! hańba temu, co potwarze szerzy!
O biada temu, co potwarzom wierzy!
(A. Odyniec).

Będzie mniej procesów.

Ze zgorszeniem pisano i mówiono w ostatnich latach o tem, że w Galicyi było rocznie więcej drobnych procesów aniżeli we wszystkich innych krajach Austryi razem wziętych. Tak okropnie rozwielmożniło się między ludem pieniactwo czyli proceśnictwo. Zwłaszcza do wielkiej liczby dochodziły tak zwane „pyskówki“ to znaczy drobne procesy o obrazę czci.

Ale, dzięki Bogu, wyszła ustawa, które przyczyni się w znacznej mierze do wytępienia pieniactwa. Mianowicie z początkiem 1916 r. zaczęło obowiązywać nowe rozporządzenie cesarskie (z dnia 15 sierpnia. 1911. Nr. 279 Dz. p. p.) podnoszące niezmiernie stemple i należytości sądowe, oraz wprowadzające nowe opłaty od czynności dotychczas bezpłatnych.

Przeciętnie sądy powiatowe rocznie miały po jakie 2.000 spraw o obrazę czci, drobne oszczerstwa, mniejsze bitki i t. p. , które dotychczas załatwiano bezpłatnie, a od początku 1916 roku będą płacone stemplami, które mogą przy jednej sprawie wynosić 15 do 30 koron!

To podniesienie opłat jest tak znaczne, że ludzie niezamożni, wdający się w ryzykowny proces, a nie wiedzący o nowych opłatach, narażą się na poważne wydatki a nawet na ruinę majątkową.

Nasza wiara święta zawsze nakazuje miłość bliźniego, chętne darowanie uraz i t. d. Niestety, wielu ludzi nie szło za głosem sumienia chrześcijańskiego, lecz kierowało się prostą chęcią zemsty. Stąd było tyle procesów o lada drobnostkę. — Nowe rozporządzenie skłoni więc tych mściwych ludzi do zaprzestania procesów.

Dlatego uwiadamiamy wszystkich o tem nowem rozporządzeniu i z góry przestrzegamy przed procesami, ażeby później nie żałowali po niewczasie.

Jak kowal odpowiedział bluźniercy?

Coraz częściej po miastach i po wsiach spotkać można różnych mądralów, wychowanych na bezreligijnych, a niby ludowych pismach, którzy pozwalają drwić sobie ze wszystkiego, co dla nas jest drogie i święte. Taki niby oświatowiec wolnomyślny, wyzuty z uczuć religijnych, wyszydza księży, biskupów, urządzenia kościelne, ośmiesza pragnących żyć po bożemu, natrząsa się z bractw religijnych i stowarzyszeń, jak naprzykład z Żywego Różańca; wmawia w słuchaczy, że niepotrzebnie odmawiają pacierze, że księża każą odmawiać je bezmyślnie i plecie wiele temu podobnych bredni...

Wszyscy bezwyznaniowcy wiedzą, że nasi nawet dobrzy katolicy są potulni, często brak im śmiałości, by na zaczepki i głupie napaści wygłaszane jak należy odpowiedzieć.

Czasem jednakże ci siewcy niewiary i najmici spotykają się z zasłużoną, choć prostaczą odprawą, jak zdarzenie poniższe wyjaśnia.

Do pewnego miasteczka przybył wolnomyślny i postępowy bezbożnik, a zebrawszy gromadkę ludzi, zaczął swoją wyuczoną sztuczkę powtarzać, jak mu kazali i zapłacili. Nagadał więc na księży, co mu ślina przyniosła, na Kościół i jego naukę, wreszcie jak zwykle i na Pana Boga. W końcu chcąc trafić do przekonania słuchaczy, rzekł:

— Słyszeliście, com powiedział o Panu Bogu. Jeżeli jest jaki Bóg, to dlaczego nie ześle anioła z nieba, aby mnie ukarał za bluźnierstwo i chociaż za to w twarz uderzył!...

Razem z innymi przysłuchiwał się tym bredniom wędrowny kowal. Spotykał on w życiu różnych łajdaków, ale takiego zuchwalca jeszcze nie widział. Gdy więc usłyszał ostatnie jego drwinki, nie mógł wytrzymać, burknął pod nosem:

— Tyle już sami możemy zrobić, bratku! Na to nie potrzeba aniołów!

I nim się spostrzegł ten oświecony niby postępowiec, otrzymał takie dwa cięte policzki od kowala, że aż się echo odezwało.

— Kazał cię Pan Bóg pozdrowić, — rzekł kowal do osłupiałego bluźniercy — i powiedzieć, że dla takiego hultaja szkoda mu posyłać anioła z nieba, gdyż to, czegoś żądał i Bartek Kowadło potrafi!...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ten najmita-gorszyciel ani słowa się nie odezwał; przekonał się namacalnie, że nie wszędzie można drwić z tego, co dla milionów jest drogie i święte. Dowiedział się też, że za taką robotę taka może być słuszna i sprawiedliwa zapłata od ludu.

Wojenne proroctwa.

Jest we Francyi, głośna od lat kilku „wróżka“, pani de Thebes. Pełna zawsze „proroczego“ ducha, przepowiada owa niewiasta światu jego przyszłe losy. A choć z tych przepowiedni nigdy nic się nie spełnia, to prorokini bynajmniej się nie zraża i nie ustawa w swem „proroczem“ dziele.

Książka, w której pani de Thebes swe proroctwa umieszcza kosztuje pięćdziesiąt franków (koron) i ma nadzwyczajny pokup. Naiwny naród wierzy czczym wymysłom chytrej babiny i drogo opłaca jej brednie. Plecie więc babina plecie bez końca, na tem plotkarstwie coraz lepiej jej się wiedzie.

Pozazdrościli jej snać jednak sławy i grubych dochodów ci i owi, bo dziś coraz więcej takich „wróżów“ powstaje. Brzemienny w wielkie wydarzenia czas wojny, zapowiadający we wszystkich niemal dziedzinach życia wielkie zmiany, dziś jeszcze tajemnicą przyszłości osłonięte, nastręcza ludziom mnóstwo domysłów, które oni, jako „nieomylne wyrocznie“ światu do wiadomości podają. Dla uzasadnienia swej rzekomej „nieomylności“ wymyślają najrozmaitsze sztuczki. Z liczb czasu ważnych wydarzeń tworzą moc liczby czasu rzekomych zmian; z przestawiania liter w nazwiskach panujących i wodzów tworzą nowe słowa, określające przyszłe dzieje itp.

A naród słucha i wierzy, jak wierzyli dawni poganie swym wieszczkom, co z różnych luźnych wydarzeń o przyszłości wyrokowali.

Rozsądny człowiek nazwie jednak wszystkie owe przepowiednie bredniami. Wie bowiem, iż umysł ludzki przyszłości nigdy nie przeniknie. Owa przyszłość bowiem to wynik zrządzeń Opatrzności, działań wolnej woli człowieka i wpływ sił przyrody.

Bóg w wyrokach swoich jest niezbadany. Bożej wszechwiedzy, wszechmocy i woli człowiek nigdy nie ogarnie. A przecież ta Wszechwiedza, Wszechmoc i wola Boga o wszystkiem stanowi. Wszak Bóg, stworzywszy świat, nie porzucił go zupełnie własnym jego losom, ale rządzi nim i utrzymuje go. Kto zatem owej wszechwiedzy i woli Boga nie przeniknie, to o tem, co Bóg zrządzi wiedzieć nie może. A Boga żaden umysł ludzki nigdy nie dosięże!

Aczkolwiek jednak Bóg w dzierżeniu rządów świata nie ustawa, to wykonanie dziejów świata w olbrzymiej mierze zdał na człowieka. Udarował go bowiem wolną wolą; potęgą tej woli może człowiek nawet wszechmocnemu Bogu się przeciwić, jak to zawsze czyni, ilekroć przeciw Jego przykazaniom występuje. A ta wola ludzka, zawsze taka kapryśna! Nawet sam człowiek nie przewidzi nic naprzód, co ona postanowi. A cóż dopiero rzec o przyszłych czynach innych? A przecież z tych czynów układają się dzieje przyszłości!

Potężnym czynnikiem w układaniu się dziejów świata są prawa przyrody, którym człowiek w niemocy swojej często ulegać musi. Jakże to często przecież wzburzone siły żywiołów niweczą najusilniejsze przedsięwzięcia ludzkie — albo też przeciwnie — jakże to często pomyślne warunki w stanie przyrody, słabe próby niepoczcestnych jednostek do wielkich czynów doprowadzają? A któż przeniknie tajemnice morza, wichrów, piorunów i nawałnic?

Z działania tych czynników układają się dzieje świata. Niezbadane są ich tajemnice, to też zakrytą jest przed ludźmi przyszłość.

Bogu jeno jest ona przyszłość wiadoma. On Jeden bowiem tylko Siebie pojmuje i On Jeden przenika tajniki przyrody i ludzkiego serca.

Wszak przyroda ślepo wykonuje jeno Jego odwieczne prawa. Jako najwyższy zaś prawodawca Bóg zna najdoskonalej Swe postanowienia.

Ale Bóg zna też przyszłe czyny ludzkie. Choć bowiem te czyny z wolnej woli człowieka wynikają, to Bóg, jako istota wieczna od wieków je już przewidział. W wiekuistości Bożej bowiem panuje ciągłe „teraz“ Niemasz u Boga ani przeszłości, ani przyszłości, ale ciągła teraźniejszość. Bóg ogarnia Swą wiecznością wszystkie czasy i wszystkim czasom jest równocześnie obecny. Istniejące obok Boga stworzenia wciąż podlegają coraz innym zmianom, a przechodząc z nieistnienia do istnienia i znowu do nieistnienia ustępują miejsca innym. Te, które już przeminęły, tworzą przeszłość, te, które mają nadejść tworzą przyszłość, a te, które są obecnie, składają się na teraźniejszość. Ten ciągły ruch stworzeń, wytwarza więc nasz czas.

U Boga jednak tego czasu niema, bo Bóg jest wieczny i niezmienny. Stąd u Boga panuje ciągłe „teraz“, w którem Bóg jest obecny wszystkim odmianom naszego czasu. Bóg więc jednocześnie widzi to, co się już stało, to, co się dzieje i to, co się dopiero stanie.

Tak widzi Bóg i te czyny, które z wolnej woli człowieka wynikną. A ponieważ Bóg je już widzi, przeto te czyny koniecznie stać się muszą.

Ta konieczność jednak nic nie uchybia wolności woli człowieka. Nie dlatego bowiem te czyny się staną, że je Bóg widzi, ale dlatego je Bóg widzi, że one się staną.

Tak więc Bóg jeden tylko przyszłość przewidzieć może. To zaś przewidzenie Swoje objawia Bóg czasem człowiekowi. Ale czyni to tylko w sprawach ważnych, jak świadczą o tem proroctwa Starego Zakonu i Chrystusowe.

Wróżom-wyzyskiwaczom z pewnością nigdy Bóg rąbka zasłony przyszłości nie uchyla. Stąd prorokując, bredzą jeno.

Z baraków w Chocni.

(Po odjeździe „Krakowiaków". — Chocnia, wielką wsią polską. — Ludzie z nad Strypy. — Bieda, brak obuwia. — Wyjazd partyi w powiaty czeskie. — Święto w Chocni. — Pasterka. — Przy wilii, brak opłatków. — „Kuchnia" podczas świąt. — „Gwiazdka" w ochronce, szpitalu, u sierót, w szwalni. — Zakończenie roku. — Odjazd księży. — Nowy proboszcz).

W miesiącu grudniu dokonał się tłumny wyjazd „Krakowiaków" z baraków. Kiedy po długich zachodach otworzono im dostęp do miasta Krakowa, otwarły się temsamem dla nich bramy obozu barakowego i pożegnali po kilkunastu miesiącach Chocnię — oby na zawsze, oby nie potrzebowali tutaj więcej powracać. Z „Krakowian" pozostała w tutejszym obozie barakowym niewielka garstka, ale jakim i dziwnym, dla nas niewytłómaczonym sposobem stało się, że pozostali w barakach nie ci Krakowianie, którzy mieli pozostać, ale inni. Mianowicie, jak wiadamo kilkuset podejrzanym osobnikom zamknięto wstęp, do twierdzy — tymczasem prawie ci wszyscy odjechali a że są już w murach Krakowa dowiadujemy się z pism, które notują ich gościnne występy — a zamiast nich pozostawiono w barakach Bogu ducha winnych, spokojnych mieszkańców Krakowa, którzy teraz czynią starania o pozwolenie na powrót. A jak twierdzą „wtajemniczeni", nieproszonych gości ma się napowrót przewieść do baraków z Krakowa — ale trudno wiedzieć, ile w tem prawdy.

Nie należy jednak myśleć, jakoby po wyjeździe „Krakowian" baraki stały pustką. Otóż tak nie jest, owszem przeciwnie, jeszcze nigdy stan ludności w barakach nie osiągnął tej wysokości, co teraz, bo niemal 18 tysięcy ludzi. Zaszła tylko ta zmiana, że dziś gruntownie zmienił się zewnętrzny wygląd obozu, bo dotąd „ Krakowianie" nadawali mu jakby wygląd miasta, coś na kształt „Dębnik" lub „Grzegórzek"; a dzisiaj utraciły baraki swój charakter „Wielko-Krakowski", nie widać tak charakterystycznych postaci ze Zwierzyńca, czy Czarnej Wsi — którzy rej wodzili w baraku, baraki stały się jednolitą wielką wsią polską, większą kilkakroć od największych galicyjskich, Żabiego, czy Ujsołów.

W ostatnich bowiem tygodniach oprócz „sezonowych robotników", zjeżdżają tu z całym swoim dobytkiem ewakuowani z nad Strypy, gdzie ich mieszkanie zajęło wojsko. Dziś w barakach mamy wszystko, jak w polskiej wsi, bydełko, konie, co prawda biedne, chude szkapiny, któremi nasi chłopi furmanią po Chocni i po okolicy, zarabiając po trosze.

Ludność ewakuowana ze wschodniej Galicyi to obraz nędzy — szczególniej litość bierze patrzeć na wychudzone dzieci, nogi popuchnięte, bo chodzą boso; brak bowiem obuwia. Patrząc na biedotę, myślimy, że pięknie to okazać bratnie serce dla Warszawy, lecz niemniej koniecznem jest zacząć zbierać także dla naszych braci ze Wschodniej strony.

Z powodu nadmiernego przepełnienia baraków Namiestnictwo praskie zarządziło rozsiedlanie ludności partyami po powiatach — i tak już niektóre partye odjechały w powiat Koliński, Mołdo-Bolesławski, Pardubicki, i do Brandysa koło Pragi. Tej ludności trzeba będzie zabezpieczyć pieczę duchową.

Wogóle w barakach panuje życie rojne, ruch wielki; niejako ustawiczna wędrówka narodu — jedni przyjeżdżają, inni odjeżdżają.

Święta Bożego Narodzenia przeżywaliśmy w podniosłym nastroju. W polskim kościele barakowym, przepełnionym po brzegi ludem i inteligencyą barakową śpiewał Ks. kat. Juliusz Małysiak pasterkę. Zarząd baraków dołożył starań, by tułaczom przysposobić lepszą „wilię". Z tęsknem uczuciem zasiadali wygnańcy do tej „wilii tułaczej" tem smutniejszej, że brakło niemal zupełnie opłatków, nie można było tedy nawet połamać się opłatkiem zwyczajem starodawnym. Z wiktu świątecznego byli wszyscy zadowoleni, rozdano bowiem białe strucle, pokazał się smaczny rosół, białe mięso w obfitości, to też chwalono sobie święta; z pewnością nie mieli takich Krakowianie u siebie.

Staraniem Sióstr Służebniczek odbyła się w ochronce „Gwiazdka dla dzieci". W szpitalu Siostry Miłosierdzia przygotowały Choinkę i podarki dla chorych, a „strażacy polscy" w barakach swoim kosztem przybrali choinkę dla sierót w baraku drugim.

W „szwalni" panie nauczycielki za inicyatywą p. Dominikowej Gerardowej urządziły wspaniale przybrane drzewko; i tutaj na przemiany codziennie grupami przychodziły dzieci z poszczególnych baraków i otrzymywały podarunki, sukienki, ubrańka i zabawiały się przy drzewku. Nabożeństwo dziękczynne na zakończenie Roku zgromadziło także całą ludność w kościele, która zanosiła gorące modły do Boga, by przyszedł koniec tej długiej tułaczki i poniewierki.

W parafii choceńskiej zaszły zmiany. Wraz z powracającymi Krakowianami opuścili po kilkunastomiesięcznej pracy baraki księża krakowscy. Wyjechali po Nowym Roku Ks.

Karol Słowiaczek, Ks. Jul. Małysiak, Ks. Wojciech Szemik, żegnani z żalem przez ludność, której byli prawdziwymi opiekunami i przyjaciółmi i bronili jej przed niesprawiedliwością i stawali śmiało w jej obronie zawsze i wszędzie. Opuścił także baraki Ks. Adam Pierzowicz, ten sam niezmordowany opiekun ludności zamkniętej w barakach w Leibnitz, skąd we wrześniu przyjechał do Chocni, a teraz na polecenie Ks. Biskupa Sapiehy udał się na dalszą pracę do obozu internowanych pod Wiedniem.

Opiekę duchowną w barakach objęli Ks. Misyonarze z Krakowa, a proboszczem mianowany został Ks. Karol Michalski.

Wolnomyślny a pobożny wieśniak.

Pewien mędrek, przebywający na świeżem powietrzu na wsi, rzekł raz do pobożnego wieśniaka, który wrócił z kościoła: „Nie pojmuję, że wy jeszcze tak trzymacie się religii i poco wy chodzicie do kościoła! Dziś każdy mądry człowiek zarzuca te stare zabytki“. Roześmiał się wieśniak i rzekł do mędrka: „Mój panie! Nie wiem właściwie, jak to pan rozumie. To tylko powiem: Uważałem zawsze, że tylko tacy, którzy wiodą złe życie, lub co więcej, zasłużyli na szubienicę, bywają nieprzyjaciółmi religii, duchowieństwa i z nich szydzą. Dlatego tem więcej mam czci dla religii, aby się nie dostać do takiego niezaszczytnego towarzystwa“. Mędrek, który myślał, że ma z głupim do czynienia, odszedł. nie mruknąwszy na to ani słowa.— Wieśniak miał słuszność. Skoro bowiem tylko kto pocznie prowadzić złe życie, nie cierpi, nie znosi religii i przykazań Bożych i tych, którzy mu prawdy Boże przypominają, gdyż one potępiają jego złe życie. Zły to zatem znak, jeśli ktoś gardzi religią i duchowieństwem.

Czystość obyczajów a prawo natury.

Utarło się dziś w świecie mniemanie, jakoby „czystość obyczajów“ była tylko „wymysłem“ Kościoła. dążącego rzekomo we wszystkiem do zupełnego ograniczenia doczesnego szczęścia człowieka na ziemi. Wielu też uważa bezwzględne zachowanie czystości za rzecz wprost niemożliwą, bo szkodliwą zdrowiu i przeciwną „prawu natury“.

Rzekomem „prawem natury“ chcą ludzie osłaniać swoje... występki!

Ależ to fałsz! Ani bowiem prawo o zachowaniu czystości nie jest żadnym „wymysłem“ Kościoła, ani też rozpusta nie jest żadnem prawem natury“.

Przeciwnie! Czystość obyczajów, a nie rozpusta, jest prawem natury i Kościół jako taki je głosi.

Człowiek rodzi się ze zdolnością poznawania, co dobre, a co złe; do tej zdolności przyłącza się skłonność do czynienia dobrego, a unikania złego. Tę właściwość. wrodzoną ludzkiemu sercu, nazywamy „prawem naturalnem“. Według tego prawa żyje ludzkość od początku swego istnienia. Obowiązuje ono wszystkich, bo wszyscy mają jednaką naturę, a nie zmienia się nigdy, bo i natura człowieka jest niezmienna.

Krótkim zbiorem przepisów „prawa naturalnego“ jest „Dziesięcioro przykazań boskich“.

Otóż z tych przykazań 6 i 9 uświęcają między ludźmi związki małżeńskie, a potępiają wszelką rozpustę, nawet w myśli spełnianą.

Czemu?

Bo rozpusta przeciwi się „prawu naturalnemu“. Chybia bowiem celu, jaki natura tym czynnościom przeznacza.

Każdy narząd i każde uzdolnienie w człowieku ma swe osobliwe przeznaczenie. Owych narządów i uzdolnień li tylko w celu osiągnięcia odpowiedniego przeznaczenia używać można. Użycie tych organów wbrew ich przeznaczeniu, jest „nadużyciem“, czyli występkiem.

W każdym człowieku tkwi z natury zdolność „zachowania rodzaju“ przez rozmnażanie się. W tym też jedynie celu może być owa zdolność użytą. Ten zaś cel „zachowania rodzaju“ osiąga się w sposób właściwy tylko w związku małżeńskim. Związek małżeński bowiem tylko zabezpiecza warunki osiągnięcia owego celu.

Związek małżeński, oparty na wzajemnej miłości dwojga osób, złączonych z sobą powszechnie, nierozerwalnie — zabezpiecza jedynie owo „zachowanie rodzaju“. Potomstwo bowiem domaga się w niemowlęctwie swojem troskliwej opieki, którą dać mu mogą tylko: ojciec i matka. I na takiem tylko potomstwie rośnie przyszłość społeczeństwa, postęp i rozkwit życia ludzkiego na ziemi. owo właściwe „zachowanie rodzaju“. „Znajdy“, to nieszczęsne potomstwo nieprawych związków, uważa się wszędzie za coś niższego i do społecznego „rodzaju“ przyjąć ich się nie chce. Niesłuszne to i krzywdzące postępowanie świata, jednak z naturalnych odruchów wynikłe. „Zachowanie bowiem rodzaju“ domaga się — rodziny, a ta opiera się na związku małżeńskim.

Tego więc tylko domaga się od człowieka natura i ku temu jedynie celowi ma on prawo użyć tych zdolności, jakiemi go obdarzyła.

Wszelka więc rozpusta jest przeciwną naturalnemu prawu.

Tkwi to zresztą w poczuciu ludzkiem. Rozpustnik. acz namiętnością wiedziony, gorączkowo szuka ofiary dla swych chuci — z odrazą się potem od niej odwraca. Wzdryga się przeciw

jego nieprawym czynom sama natura. Snać ona tego nie chce i każdy taki czyn za gwałt sobie zadany, uważa.

A cóżby rzekli owi zwolennicy hasła: „rozpusta jest prawem natury“, gdyby od nich domagano się oddania na łup cielesności ich żon, córek lub sióstr. Poczytaliby to za zbrodnię.

I słusznie! Ale tę słuszność trzeba wszędzie stosować, bo i owe nieszczęsne ofiary rozpusty, owe „upadłe“ jednostki, także są ludźmi — i równe im się prawa należą. Upadają z nierozwagi lub nędzy — ale nigdy nie są z natury na taką hańbę przeznaczone. „Hańbą się zwie ich nieszczęsny zawód... Czemu „hańbą“, i czemu się je ze społeczeństwa wyklucza? Czyż owo rzekome „prawo naturalne“ nie staje w ich obronie? Nie! Ono je nawet potępia! Wszak każdy do nich naturalną odrazę czuje. Czemu?

Bo prawo naturalne domaga się czystości obyczaju!

Tak więc odwoływanie się na jakieś „prawo natury“ jest tylko prostem osłanianiem występku.

O rzekomem zaś powoływaniu się na potrzebę zdrowia w tym względzie, tak pisze znakomity doktór Julian Czarnecki: „Każdy sumiennie myślący i nieuprzedzony lekarz na podstawie własnego doświadczenia dojść musi do wypowiedzenia tego przekonania, że niestety już dużo widział ofiar zmysłowości i lubieżności, natomiast żadnej nie spostrzegł ofiary cnotliwej wstrzemięźliwości“. (Med. past. 76).

Ową więc gadkę o rzekomem prawie natury wymyślili zapewne właściciele „domów zabaw“ i wspólni im pochodzeniem i wiarą t. zw. „lekarze“.

Aby handel szedł!

Nauka głuchoniemych.

W r. 1789 umarł w Paryżu ksiądz de l‘Epee, wynalazca nauki głuchoniemych. Świat, który więcej zważa na głośnych krzykaczy, jak na mężów, co w cichej skromności działają, zapomina łatwo o imionach swych dobroczyńców, a zazdrość i nienawiść ludzi niewiernych i wrogich Kościołowi, stara się z umysłu zasługi ich zmniejszyć lub zaćmić.

Karol Michał de l‘Epee urodzony w Wersalu, był kanonikiem w Troyes, a po śmierci przyjaciela swego, biskupa troajskiego, mieszkał w Paryżu. Pewnego razu zawezwano go do domu jednej damy dla spełnienia obowiązku kapłańskiego. Damy owej, pani domu nie było, ale gdy wszedł do pokoju, wyszła naprzeciw niemu córka jej, która na jego powitanie nie dała odpowiedzi. Kapłan zapytał wchodzącą matkę o przyczynę tego zachowania córki i odebrał odpowiedź, że córka jej jest głuchoniema, a zatem na zawsze życia duchowego pozbawiona; a jednak zdawało się, że w tem wyniosłem ciele mieszka duch szlachetny.

Współczucie poddało kapłanowi myśl, czyby nie było możliwem, uczyć głuchoniemych i czyby im przez wzrok nie można poddawać myśli, które my zapomocą słuchu przyjmujemy. Z litości przyjął gorliwy ten kapłan kilku głuchoniemych na własny koszt do siebie i starał się im zapomocą znaków myśli swych udzielić. Ta mowa zapomocą znaków, to jego wynalazek, którą jego następca ksiądz Sivard tylko bardziej uprościł, uwyraźnił i w pewien system i metodę ujął. Postępy głuchoniemych powiększały jego gorliwość i ofiarność i pozyskały mu pomocników i dobrodziejów, gdyż aż dotąd sam ich żywił i utrzymywał.

Wkrótce zakład taki powstał w Wiedniu. Ludwik XVI urządził w Paryżu narodowy zakład głuchoniemych. W innych miastach powstały inne, których nauczyciele kształcili się wszyscy pod ks. Epee. Dodajmy tu, że tym dobrodziejem głuchoniemych nie był wolnomularz, ale znowu kapłan katolicki.

Zacny syn.

Około 1610 r. żyła we wsi Suliszewie pani Strzemska z synem Krzysztofem. Matka kochała go czule, a syn okazywał jej na każdym kroku wielką miłość i uszanowanie. W tym czasie napadli na nasz kraj Turcy i Tatarzy. Krzysztof poszedł na wojnę, bił się dzielnie, ale gdy wrócił, nie zastał matki, gdyż Tatarzy uprowadzili panią Strzemską do niewoli. Dobry syn na tę wiadomość skamieniał niejako z żalu. Wkrótce jednak pokonał boleść serdeczną, powziąwszy silne postanowienie odszukania matki i wydobycia jej z niewoli. Zebrawszy kilka tysięcy złotych, udał się na półwysep Krymski, gdzie była główna siedziba Tatarów. Po długich staraniach odszukał nakoniec dobry syn matkę, złożoną ciężką chorobą. Myślała ona wciąż o ukochanym Krzysztofie. Rzewne było ich powitanie! Pani Strzemska w skutek wycieńczenia zakończyła życie, błogosławiąc syna, który tak wiernie spełnił czwarte przykazanie. Trudno opisać cierpienia Krzysztofa na widok zmarłej matki Wyraziła ona życzenie, aby jej zwłoki pochowano w ojczystej wiosce. Syn postanowił wykonać święcie życzenie matki, gdyż podług jego zdania miłość i cześć dla rodziców nie kończy się ze śmiercią. Tatarzy zażądali za wykup ciała pani Strzemskiej tak olbrzymiej kwoty, że Krzysztof oddał im nietylko wszystkie pieniądze, jakie miał ze sobą, ale nawet wóz, konie i pierścień kosztowny, pamiątkę po ojcu. Potem sam przygotował trumnę, a włożywszy w nią drogie zwłoki, ciągnął własnoręcznie na wózku.

To wielkie poświęcenie nie pozostało bez wpływu na Tatarów. Matki prowadząc dzieci, mówiły do nich, wskazując na Strzemskiego: „Patrzcie na tego cnotliwego syna, który odbył podróż, aby raz jeszcze zobaczyć matkę kochaną, a teraz ciągnie ją na wózku do rodzinnej wioski. Bierzcie stąd przykład dzieci i szanujcie rodziców".

Na pół dzicy Tatarzy płakali ze wzruszenia, spoglądając na zacnego syna. Jeden z Tatarów ofiarował konia Strzemskiemu, aby mógł łatwiej odbywać podróż.

Po wielkich trudach i licznych przygodach przeszedł Krzysztof granicę kraju. Wieść o jego szlachetnym czynie rozeszła się szeroko i daleko. Zewsząd przychodzili ludzie, aby zobaczyć syna, który złożył tak wielki dowód czci ku matce. Księża wychodzili na jego powitanie w kościelnych szatach, a dzwony spiżowym głosem opowiadały o niezwykłem poświęceniu. W kronikach zapisano to zdarzenie na wieczną pamiątkę i zachętę dla późniejszych pokoleń.

Spełniło się błogosławieństwo umierającej matki, Strzemski żył sto lat zawsze w dobrem zdrowiu. Prawie codzień chodził na grób rodziców i modlił się za ich dusze.

„Trafiła kosa na kamień".

Pewien zakonnik na dworze Ferdynada V., króla hiszpańskiego († 1516) smagał bez litości w każdem kazaniu występki chrześcijan, nie zważając ani na stan, ani godność słuchaczy. Kilku dworzan, którzy nie mogli znieść tak surowych kazań, przemyśliwali nad środkami, jakby przykrego kaznodzieję oddalić ze dworu. Wreszcie nadarzyła się sposobność. Udali się tedy do króla i zaczęli kaznodzieję wynosić pochwałami jako męża nadzwyczaj zasłużonego i zrobili królowi uwagę, że niema godniejszego w całem królestwie, któryby mógł tak doskonale piastować pewien wysoki i intratny urząd, jak właśnie kaznodzieja dworski. Król uśmiechnął się i rzekł:

— Ja wiem dobrze, ale bardzo wątpię, czy on przyjmie ten urząd.

Natychmiast jeden z nich podjął się namówić pobożnego kaznodzieję, aby przyjął opróżnioną posadę. Król pozwolił, a nasz dworzanin natychmiast udał się do znienawidzonego księdza i w pochlebnych słowach przedstawił mu, jak wyborna nadarza się sposobność, aby dla chwały Bożej, dla zbawienia bliźnich, dla podwyższenia Kościoła jeszcze więcej mógł zdziałać, - jak zdziałał dotychczas.

Zakonnik przeniknął odrazu główny zamiar i skromnie odpowiedział, jako nie jest godzien tak wielkiego zaszczytu i nie podoła tak wielkiemu ciężarowi; ale dworzanin tak usilnie nalegał, że zakonnik podstępu na podstęp użyć musiał.

— Jabym się wreszcie — rzekł — zgodził na wolę króla, gdyby mi nie było bardzo przykro tego życia cichego, które dotychczas prowadziłem, zamienić na tak wielką troskę i takie przykrości, zwłaszcza, że owa wysoka i intratna posada bardzo wiele wydatków wymaga.

— O, jeśli o to chodzi — zawołał dworzanin uradowany — to proszę się nie troszczyć, nim słońce zajdzie, poszlę Ojcu 4000 złotych. I w istocie, nim słońce zaszło, już rzeczona suma była w celi zakonnika. Ale i wielka ilość rzemieślników zgromadziła się u Ojca X. Tym bowiem ów dworzanin wiele był winien za robotę. Skargi ich już nieraz poruszały serce Ojca X.: dlatego kazał im dziś przyjść do siebie i zapłacił im w imieniu dłużnika cały dług. Pełni radości i wdzięczności ku Ojcu X. oddalili się rzemieślnicy, błogosławiąc dłużnika, że się wreszcie nad nimi zlitował.

Nazajutrz, gdy się kaznodzieja znajdował w przedpokoju królewskim, wszyscy jego przeciwnicy wybiegli naprzeciw niemu z udaną czcią i radością, winszując mu szczęścia do takiej godności, on jednak owego dworzanina wziął ze sobą do bocznego pokoju, wyjął pokwitowania rzemieślników, oddał mu je i rzekł:

— Oto pańskie 4000 złotych; a ja zostanę tem, czem byłem dotychczas.

I pozostał tem, czem był i nadal ostro karcił w kazaniach występki dworzan.

Krzysztof Kolumb.

Chrześcijanin, który przepływa ocean tego świata, aby się dostać do niebieskiej ojczyzny, powinien naśladować ufność i stałość sławnego Krzysztofa Kolumba, płynącego w celu odkrycia Ameryki.

Mąż ten umysłu wzniosłego, który przez morza nieznane i bezbrzeżne odważył się zbliżyć do drugiej półkuli, zrozumiał, że poza morzem zachodniem muszą być ziemie zamieszkałe przez istoty rozumne i powziął zamiar poznać je osobiście. Otrzymawszy od Ferdynanda, króla Kastylii, trzy małe okręty kupieckie wraz z tytułem admirała, wypłynął 3. sierpnia 1492 roku. Skierował swą podróż ku wyspom Kanaryjskim i puścił się na zachód na straszliwe morze, na które jeszcze nikt się puścić nie był odważył.

Żądza chwały i nadzieja szczęścia podtrzymywały przez niejaki czas odwagę jego towarzyszy, ale po kilku tygodniach, skoro się przekonano, że morze zawsze jest niezgłębione i bezbrzeżne, gdy igła magnesowa niezwykłe zmiany okazywała, skoro suchary i woda słodka już się wyczerpały, okrutne troski, zniechęcenie i rozpacz owładnęły żeglarzy. Oczy ich zwróciły

się ku ojczyźnie, którą tak daleko za sobą zostawili; jedna myśl góruje, to jest cofnąć się przed niezmierzonością, którą im nieświadoma wyobraźnia przedstawia jako przepaść bez końca i granic. Napróżno Kolumb dodaje im otuchy, daremnie obiecuje im, że wytrwałość ich uwieńczoną zostanie nieśmiertelną chwałą; ci ludzie prości, zatykając uszy na jego rozumne słowa, koniecznie chcą powrócić. Aby tego zamiaru dopiąć, zamyślają zamordować admirała i rzucić go w morze.

Nieustraszony Kolumb, domyślając się niegodziwych spisków, nakazał im uszanowanie przez swą postawę i stanowczość. Pierwszego października mała ta flota oddaloną była o sto mil od wysp Kanaryjskich a ze wszystkich stron nie widać było nic, jak tylko zwierciadło morza martwe i puste. Rozdrażnienie żeglarzy doszło do ostateczności: oburzeni na sprawcę swych nieszczęść i zguby, która im grozi, głośno mruczą na niego i otoczywszy go, rzucają nań wzrokiem groźnym, w którym przebija się mord i zemsta. On zawsze stanowczy i pewny w swem przekonaniu, odpowiada im z największym spokojem, że jeśli za trzy dni nie obaczą lądu, on się oddaje pod ich rozporządzenie.

Wkrótce kilka przedmiotów lądowych przygnanych wiatrem, upewniło i uspokoiło najtrwożliwszych, a na kraju nieboskłonu okazały się masy ciemno-błękitne, które w miarę jak się doń ich okręt zbliżał, coraz więcej się wznosiły. Wreszcie 11 października ląd wyraźnie się ukazał i sprawił, że po rozpaczy największą radość nastąpiła. Kolumb całą swą nadzieję pokładał w Bogu, dla którego chwały ten nowy świat pragnął odkryć.

Słusznie podziwiamy stałość i odwagę tego wielkiego żeglarza, który mimo buntu i niesforności swych towarzyszy, trwał w swem przedsięwzięciu. Domyślał się i jako uczony wnosił słusznie, że istnieje świat nowy dotąd nieznany; my zaś nietylko się domyślamy, ale nawet mamy pewność, że ojczyzna błogosławiona czeka nas u kresu naszej podróży ziemskiej. Jakże wielką powinna być nasza odwaga i wytrwałość!

Mężne dziewice.

Działo się to w Paryżu, podczas owej wielkiej rewolucyi, przy końcu zeszłego wieku. Dwa wozy pełne zakonnic, skazanych na śmierć przez zbuntowanych królobójców, przejeżdżały około jednego z publicznych placów, gdzie motłoch wszelkiego rodzaju radował się z odniesionego nad niewinnemi zwycięstwa i z tego powodu jadł i pił bez miary. Gdy spostrzegli owe dwa wozy, a na nich skromne, cnotliwe zakonnice, wyzywali je najplugawszymi wyrazami, rzucali na nie kości i brudne resztki z biesiady, śpiewając przy tem najbezbożniejsze pieśni, obrażające uszy i niewinność czystych oblubienic Chrystusowych. Lecz one pośród tego dzikiego wesela, nie utraciły ani na chwilę spokoju i pogody ducha i jechały odważnie na pewną, straszną śmierć, modląc się gorąco za swych morderców, za nieszczęśliwą zbłąkaną ojczyznę, mając podobnie jak królowa ich Marya Antonina, ręce w tył związane, a oczy wzniesione ku niebu, śpiewały pieśń do N. M. P.

— Nie, nie! — zakrzyczano je zewsząd — marsyliankę, marsyliankę!

Wśród wściekłych okrzyków tłuszczy, śpiewały dalej Karmelitanki spokojnie i poważnie pieśń do N. M. Panny.

— Uparte mniszki! Trzeba je zmusić do posłuszeństwa! wyje tłuszcza.

— Śpiewajcie marsyliankę! Natychmiast!

— Czyście zrozumiały? a więc zaczynać!

Lecz zakonnice śpiewały dalej spokojnie i niewzruszenie pieśń do Matki Boskiej, zdając się nie słyszeć wyuzdanych obelg, a obelg tak sprośnych i tak okropnych, iż powtórzyć ich niepodobna.

W świętym zachwycie, jak gdyby do tej ziemi nie należały, jechały odważnie męczennice i kończyły pieśń zaczętą.

Im wznioślejszą okazuje się cnota, tem więcej wścieka się występek. I pogańscy tyrani w ten straszliwy gniew wpadali, im mężniej święci męczennicy Pańscy męczarnie znosili.

To też i teraz doszła do najwyższego stopnia wściekłość tych bezbożników. Zatrzymali przemocą wozy, na których jechały oblubienice Chrystusowe i zaczęli je bić tak niemiłosiernie, że aż woźnice musieli się w to wdać, krzycząc, aby nie zabijano skazanych, gdyż inaczej pozbawią ich przyjemności podziwiania, jak ich głowy będą padały pod gilotyną.

Kilka sióstr ciężko pokaleczono, jedna miała na głowie głęboką ranę, z której krew lała się strumieniem.

Wtem przez zbity tłum napastników przeciska się młoda kobieta; nie dbając na groźby i łajania dzikiej tłuszczy, dostaje się z trudem do wozów, upada na kolana i woła do ciężko rannej zakonnicy:

— O ty święta, która wstępujesz do nieba, błogosław mi!

Umierająca pochyliła się ku niej, wzięła swój różaniec, który był cały krwią przesiąkły i dała go nieznajomej, mówiąc: — Módl się za nas, kochana siostro!

W kwadrans później padły głowy siedmnastu Karmelitanek pod gilotyną, dusze zaś niewinnych i czystych ofiar pospieszyły do niebieskiego swego Oblubieńca, aby z rąk Jego odebrać koronę męczeńską.

Mniej łez a więcej męztwa i czynów!

Zdaje się, że nie pomylimy się, gdy powiemy, że wielu ludzi popada z powodu wojny w smutne i przygnębiające usposobienie. Jest to stan chorobliwy. Objaw ten nie jest wcale pocieszającym!

Czy nie leje się za wiele łez? Może jest za wiele rozczulenia się i grania na rozdrażnionych nerwach?! Dość tego! Nie wylewajmy daremnie łez, nie rozczulajmy się sami nad sobą, lecz okazujmy więcej męstwa chrześcijańskiego i odwagi.

Dzięki Bogu spotykamy chwalebne przykłady męstwa i pewności i wiary w siebie. Chłopi, którzy w czasie walki orali spokojnie swoje pole, to prawdziwi bohaterzy pracy! Jaka w tem wiara w Opatrzność i opiekę Bożą! Pocieszający to również objaw, że lud polski, wygnany ze swoich siedzib przez wojnę, wraca natychmiast — skoro tylko może — na swoją ojcowiznę i rozpoczyna na zgliszczach pracę na nowo. Widać w tem wielką i niespożytą siłę!

Lud polski nie może zginąć: nie ulegnie żadnej wrogiej potędze, gdy posiada takie umiłowanie ziemi ojczystej.

Zabierajmy się więc na nowo do pracy! Wprawdzie wiele widać naokoło gruzów, ruin i zgliszczów, ale przy pomocy Bożej i dobrych ludzi wszystko da się pomału naprawić i odzyskać. Wziąć się również do wspólnej pracy w Kółkach rolniczych, w Kasach Raiffeisena i w towarzystwach katolickich! Po roku wojny odetchnęły nieco ziemie polskie. Milionowe armie ustąpiły gdzieindziej. Zabierajmy się więc do zagojenia ran i naprawienia szkód, wyrządzonych przez wojnę, a hasłem naszem niech będą słowa ludu francuskiego z czasów wojny stuletniej, przytoczone przez Fryderyka Schillera („Dziewica Orleańska“ Prolog).

Wracajmy znowu do pracy! Wracajmy!
O losach świata niech myślą Książęta
Tej ziemi! My o tem zaś pamiętajmy,
Co nam najbliższe i co nas otacza!
Wszystkie nieszczęścia przetrwajmy spokojnie!
Z pod nóg nam bowiem nie wydrze zdobywca
Tej ziemi naszej przepięknej, uprawnej!
Pola niech końskie tratują kopyta,
Niech wróg w perzynę obraca nam wioski!
Nic to! On przejdzie! My ziemię zorzemy,
A ona zrodzi nam nowe znów zboża!
I nowe znowu ukażą się chaty.

Trynitarze w Polsce.

Historya Polski, to dzieje jednej, krwawej wojny. Na wschodnich granicach Polski rozsiadła się ćma dzikiego barbarzyństwa, Tatarzy i Turcy. Przez pięćset lat z okładem wpadała ta szarańcza w granice Polski, niszcząc ogniem i mieczem jej dziedziny. A czego ogień nie strawił i miecz nie uśmiercił, szło w straszną niewolę, „jassyrem“ zwaną. W jassyr porywano ludzi młodych, a głównie kobiety i dzieci. Na tureckich i tatarskich rynkach aż się roiło od polskich niewolników. W r. 1289 wzięto naraz dwadzieścia tysięcy samych dziewcząt w jassyr. Innym razem dwadzieścia dwa tysiące polskiej młodzieży poszło w łyka tatarskie. I nie było Tatarczyna, któryby, jeśli nie setki, lub dziesiątki, to przynajmniej kilku chrześcijańskich niewolników nie miał u siebie; było bowiem powszechne mniemanie pośród tych pohańców, że chrześcijański niewolnik wnosił szczęście i błogosławieństwo do domu. To też pokup był na nich wielki. W samym Konstantynopolu sprzedawano na targu rocznie przeszło dwadzieścia tysięcy polskiego niewolnika.

Straszna była dola tych jeńców. Mężczyźni szli na ogromną pracę, niewiasty na poniewierkę i hańbę, a młodzi chłopcy do wojska, by później walczyć przeciw własnej ojczyźnie.

Był człowiek posłany od Boga, któremu było imię Jan, jak sławiono naszego króla Sobieskiego po oswobodzeniu Wiednia, gdzie ostatecznie złamał potęgę turecką. Człowiek ten, prawdziwie posłany od Boga, oswobodziciel kilku tysięcy jeńców w wyprawie kałuskiej, wódz, który starł z Polski hańbę pokoju buczackiego, a chocimskiem i wiedeńskiem zwycięstwem zasłużył sobie na chlubne miano: obrońcy ojczyzny, zapragnął przynieść ulgę polskim niewolnikom. Jerzy Denhof, opat mogilnicki, później kardynalską godnością zaszczycony, stanął pod koniec 1683 r. z polskiem poselstwem od króla w Rzymie, składając do nóg papieża Innocentego XI wiedeńskie trofea wojenne. A jak po zwycięstwie pod Chocimiem sprowadził był Sobieski do Warszawy Kapucynów, tak i teraz, dla okazania wdzięczności Bogu za zwycięstwo pod Wiedniem, jako też dla ratunku trapionych jasyrem wschodnich dziedzin Polski, postanowił wezwać nowy zakon do Polski i osadzić go we Lwowie. Wyboru dokonał opat Denhof.

W wieku XII dwaj pustelnicy, św. Jan z Maty i św. Feliks Valezy, założyli osobny Zakon, którego jedynem zadaniem było wykupywanie chrześcijańskich niewolników z rąk niewiernych. Zakonnicy ci, braćmi św. Trójcy, albo Trynitarzami zwani, odziani w białe habity z czerwonym i niebieskim krzyżem na piersiach, zbierali jałmużny po wszystkich krajach, a nazbierawszy pieniędzy, szli z niemi po wykup jeńców do pogan. Każdy z nich ślubował nadto, dać siebie poganom w zakład, a wyswabadzać bracią.

Tych to Trynitarzy sprowadził Sobieski za pośrednictwem Denhofa do Polski. Przybywszy do Lwowa i urządziwszy się tutaj jak niebądź, zaraz dnia 15 stycznia 1688 r. wyprawili się nasi Trynitarze do Kamieńca Podolskiego, mając za-

ledwie cztery tysiące złotych polskich na wykup, na który wielu, wielu czekało. Wpuszczono ich wprawdzie do twierdzy, lecz basza turecki zaraz uwięzić ich kazał, nie dowierzając ich posłannictwu, już też, chcąc ich osłonić przed wburzonym motłochem tureckim, co ich miał za szpiegów lub czarnoksiężników. Gdy się motłoch uspokoił, dobili z baszą szczęśliwie targu...

Przy odgłosie pobożnych pieśni i biciu dzwonów kościelnych, wracali Trynitarze ze swej wyprawy do Lwowa. Szli w dwa rzędy, a między sobą wiedli ośmiu ludzi, wyswobodzonych z niewoli. W podartej odzieży, wychudzeni, osłabli, ledwie się wlekli, biedacy. Przodem szła stara szlachcianka Tarczewska, wykupiona za 180 złotych. Tuż za nią szli dwaj młodzi niewolnicy, opłaceni nierównie drożej, bo po 450 złotych każdy. Za nimi postępowała młoda matka z dziecięciem, urodzonem w niewoli. Matka i dziecię kosztowali najwięcej; za matkę musieli wyliczyć Trynitarze 400, a za dziecię 240 złotych. Dwaj inni brańcy, jako w sile wieku będący ocenieni byli po: 600 i 450 złotych. Wkońcu szedł starzec, niejaki Piątkowski, wynędzniały ośmnastomiesięczną niewolą, którego za 390 złotych wykupiono.

Wprowadzeni do kościoła, upadli biedni wyzwoleńcy na kolana, dziękując Bogu i zacnym zakonnikom za to, iż jeszcze kraj, braci i chaty rodzone oglądać mogą.

Podobne procesye urządzali Trynitarze zawsze, ilekroć z wyzwoleńcami wracali. A liczba tych wyzwoleńców z biegiem lat zawsze wzrastała; zakon bowiem obudził zaufanie do siebie i ofiarność w kraju wzrastała. W r. 1720 szła taka prcoesya, przeważnie z dzieci złożona. Na czele 26 jeńców w podeszłym wieku szło 18 dzieci, obojej płci, po 4, 6, 8, 10 i więcej lat. Były to sieroty, zmarłych w niewoli rodziców, wyrosłe w zupełnem zaniedbaniu, bez chrztu i wiadomości o Bogu.

Od r. 1688 do 1783 odbyli Trynitarze 18 takich wypraw, nie tylko do Kamieńca, ale po ustąpieniu stamtąd Turków, do miast Budziackich i Nabajskich, Renus i Kuszauk do Kilii nad Czarnem Morzem i Bekieszar w Krymie. Gorliwi w swem posłannictwie zakonnicy udawali się niekiedy do samego Konstantynopola, zwykle w orszaku poselstw Rzeczypospolitej i przy ich pomocy wykupywali więźniów.

Przez ręce Trynitarzy w Polsce przeszło na wykup 573.427 złotych polskich, a oswobodzono za nie 517 jeńców tak szlachty, jako i chłopów, mężczyzn, kobiet i dzieci. W całem zaś chrześcijaństwie wykupili Trynitarze z niewoli pogańskiej 30.732 niewolników.

Tak to kościół katolicki, ta dobra Matka nasza, zabiega wszędzie, gdzie jeno niedolę swych dzieci obaczy i niesie ulgę nieszczęśliwym. Dziś czasy się zmieniły. Nieszczęsna niewola ustała, a wojenni jeńcy na mocy układu wszystkich państw muszą być wszędzie szanowani, a po skończonej wojnie rodzinnym krajom wróceni. Stąd też i działalność Trynitarzy dzisiaj ustała.

Dwaj towarzysze broni.

W stowarzyszeniu „świętej rodziny“ już od dłuższego czasu, widywano dwie czarno odziane damy, które regularnie na wszystkich zebraniach były obecne i odznaczały się wielką pobożnością. Były to żona i córka pensyonowanego pułkownika N. niemającego żadnej religii. Żona i córka już od wielu lat modliły się o jego nawrócenie, ale zdaje się, bezskutecznie.

Nikt do niego nie chodził, wyjąwszy drugiego pułkownika na pensyi M., który podobnie jak tamten, był dzielnym żołnierzem, ale co do religii tak obojętnym, jak jego przyjaciel. Prawie co wieczór przychodził pan M., aby ze swym przyjacielem partyjkę pikieta zagrać. Jednego wieczora zastał swego przyjaciela w łóżku w mocnej febrze leżącego. Wkrótce choroba tak się wzmogła, że lekarz oświadczył żonie i córce, jako z chorym bardzo źle. Obie, naprzód żona a potem córka dokładały wszelkich starań, aby go do spowiedzi namówić; ale wszystko daremnie. Więc obie podwoiły swe modlitwy.

Podług zwyczaju przychodzi pan M. i pyta o zdrowie przyjaciela. Obie damy go zatrzymują; ze łzami w oczach padają przed nim na kolana i mówą:

— Kochany panie pułkowniku, tylko w panu jeszcze mamy nadzieję. On się nie chce spowiadać. Czyż ma umrzeć jako bezbożnik? Toby było okropne. On ma ku panu zaufanie, panu uwierzy. Zlituj się pan nad nami i namów go do spowiedzi!

Pułkownik je podniósł.

— Ja? — zawołał. — Niech się panie zastanowią nad tem, czego ode mnie się domagają. Ja mam mu to powiedzieć? Ja nawet żadnego księdza nie znam!

Damy nań nalegają.

— O, to będzie bardzo łatwo. My znamy doskonałego księdza, księdza S. Powiedz pan tylko mężowi, że go pan znasz. My go zaprosimy, a wszystko się samo przez się zrobi.

Zadanie to nie przypadało do smaku panu M., ale miał zanadto poczciwe serce, aby módz dłużej opierać się prośbom obu pań; na chwilę się ociągał, wreszcie obiecał. Wchodzi tedy do pokoju chorego, gdy tymczasem żona i córka pod drzwiami klęczą i gorąco się modlą. Pan M. zachodząc zdaleka, ostrożnie, nareszcie wprost mówi podkręcając wąsa:

— Słuchaj przyjacielu, wiesz ty, co jabym na twem miejscu zrobił?

— Nie wiem.

— Ty umrzesz, to pewna. A zatem z pewnością nie chcesz jako bezbożnik umierać, na to

jesteś zanadto poczciwy; na twem miejscu kazałbym zawołać księdza i wyspowiadałbym się.

— Ty, tybyś się spowiadał? Czy żartujesz?

— Z pewnością nie; mówię ci, że jabym się spowiadał!

— Doprawdy?

— Tak jest.

— A przed kimże mam się spowiadać? Ja ani jednego księdza nie znam!

— No to ja znam, on ma dobre serce, i mówi, jak myśli.

Chory milczał chwilkę, potem ostro spojrzał przyjacielowi w oczy i rzekł:

— Więc niech będzie. Jeśli to twój spowiednik, to zawołaj go.

Pan M. wstał natychmiast, wybiegł z pokoju i rzekł cicho do obu pań:

— Już zrobione; idę po waszego księdza! Kapłan, którego szuka, jest w zakrystyi. Opowiada mu, co zaszło, i kończy słowy:

— Gdyby pan N. o mnie co mówił, niech mu ksiądz powie, że mnie ksiądz zna i że jest moim spowiednikiem. Inaczej wszystko stracone.

— Ależ mój panie, jakże ja to mogę powiedzieć? Wszak to byłoby kłamstwem, a kłamać się nie godzi, nawet w dobrym zamiarze.

— Więc co tu robić w tem położeniu?

— Słuchaj pan, to rzecz prosta — odrzekł kapłan — dam panu dobrą radę; chodź pan ze mną do skarbca; tam się pan wyspowiadasz, jak przystoi na zacnego i prawego człowieka, jakim pan jesteś. Wtenczas naprawdę będę mógł pańskiemu przyjacielowi powiedzieć, że się znamy, że jestem pańskim spowiednikiem i że jesteśmy ze sobą w przyjaźni.

Dobroć kapłana w połączeniu z zakłopotaniem pana M., położyła koniec wahaniu starego żołnierza. Odważnie poszedł za kapłanem, ukląkł, wyspowiadał się jak mógł najlepiej, wstał zachwycony i pobiegł uradowany do przyjaciela. Wpada do pokoju i woła ze łzą w oku:

— O mój drogi, gdybyś wiedział, co to za poczciwy człowiek! Nigdy nie widziałem takiego. Zobaczysz, jak ci ta spowiedź pomoże!

Wkrótce przyszedł kapłan, wysłuchał spowiedzi chorego i z łatwością go namówił, żeby i Wiatyk i Ostatnie Namaszczenie przyjął. W dzień później umarł pan N. spokojnie, do Boga nawrócony przez swego starego towarzysza broni.

Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili!?...

Postać św. Wincentego a Paulo, tego wielkiego Apostoła maluczkich, biednych i opuszczonych, już przez kilka wieków unosi się nad Kościołem katolickim. Opierając się jakby na mocnym fundamencie, na tych pełnych znaczenia słowach Ewangelii: „Ubogim Ewangelia jest przepowiadana“ (Mat. 11, 5), nietylko sam ukochał gorąco ubogich, niósł im wszelką pomoc, stworzył wiele dzieł humanitarnych, ale potrafił też swojego ducha wlać w całe zastępy mężów i niewiast, które już przez kilka wieków zbliżają się do ubogich i wydziedziczonych, natchnieni najwznioślejszym przykładem samego Boskiego Zbawiciela, Chrystusa błogosławionego, który „przeszedł ziemię dobrze czyniąc“.

Konferencye św. Wincentego a Paulo już przez kilka wieków rozwijają swoją błogosławioną działalność. Zaiste, że chcąc przedstawić całą piękność i urok Ewengeliczny, jaki posiada praca Konferencyi, zawsze nam słów zabraknie. Ludzie bogaci i lepiej przez los i okoliczności życiowe uposażeni, a przejęci duchem Chrystusowym, wchodzą w ciemne zaułki i suteryny, wspinają się na poddasza, zbliżają się do ostatniej nieraz nędzy i z uśmiechem i słodyczą, jaką daje Ewangelia, schylają się nad chorymi, cierpiącymi, smutnymi i opuszczonymi, przynosząc im zawsze wraz ze swojem zjawieniem się pociechę duchową i pomoc materyalną. W ciemny kącik biednej rodziny rzuca członek Konferencyi przynajmniej raz na tydzień jasny promień światła i przynosi iskrę ciepła serdecznego. W wielkiem mrowisku ludzkiem, jakie przedstawiają wielkie miasta, biedni mogą być na śmierć zapomniani i opuszczeni. Bodaj czy jakiekolwiek inne towarzystwo ma możność tak blisko i serdecznie zbliżyć się do ubogich, jak członkowie Konferencyi św. Wincentego a Paulo. Bezsprzecznie praca ta odpowiada najlepiej intencyom Boskiego Zbawiciela i duchowi i posłannictwu Kościoła katolickiego i bezsprzecznie, że do członków Konferencyi wyrzeczone będą błogosławione słowa Chrystusa Pana na sądzie Bożym: „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, mnieście uczynili“ (Mat. 25, 40). I dlatego Ewangelia posiada niewzmożoną potęgę, pobudzającą do czynienia dobrego. Wszystkie nowoczesne hasła „braterstwa, wolności, równości“ wobec wielkiej idei miłości bliźniego i czynienia dobrze maluczkim, jaką to ideę niesie przez wieki i pokolenia Ewangelia, wyglądać będą jak przemijające światła meteorów wobec gwiazd od wieków niezmiennie świecących. Miłość bliźniego wciela się w różnych czasach w różne formy.

Praktyczne stosowanie w życiu miłości bliźniego doskonały wyraz znalazło w Konferencyach św. Wincentego a Paulo. Teraz w czasie wojny Konferencye powinny rozwinąć jeszcze energiczniejszą i na szerszą skalę zakreśloną działalność! Nie ulega bowiem najmniej-

szej wątpliwości, że w czasie wojny i po wojnie powiększy się znacznie liczba takich rodzin, które potrzebować będą czulszej i troskliwszej opieki. Kto zaś, jeżeli nie Konferencya św. Wincentego a Paulo, może takie rodziny otoczyć lepszą opieką i wnieść w nie atmosferę swobody i rezygnacyi chrześcijańskiej?

Żałować tylko należy, że w naszym kraju jest jeszcze mało Konferencyj. A przecież one zawiązane po wszystkich miastach i miasteczkach, a nawet po wsiach, spełniałyby niemniej ważne i piękne zadanie, jak je spełniają w Krakowie, we Lwowie, w Przemyślu, w Tarnowie i t. d.

Wojna okazała, jak wiele w naszym narodzie można znaleźć poświęcenia, ofiarności i wielkiej miłości bliźniego. Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że w każdej miejscowości znajdzie się grono panów, czy pań, gospodarzy, czy kobiet, które oddadzą się chętnie na usługi Konferencyom.

Wzruszający przykład.

O św. Piotrze Damianie czytamy, że był sierotą. Gdy ojciec i matka go obumarli, wziął go brat jego do siebie i kazał mu paść bydełko. Biedny chłopczyna pamiętał zawsze o zmarłych rodzicach i modlił się za ich dusze. Składał drobne pieniądze, odmawiając sobie niejednej przyjemności, a gdy zaoszczędził znaczniejszą kwotę, zaniósł księdzu do kościoła i prosił go, ażeby za jego zmarłych rodziców odprawił Mszę świętą.

Piękny to i rzewny przykład miłości dziecka względem swoich rodziców.

* * *

Lecz myliłby się, ktoby sądził, że przykłady wielkiej pobożności i wysokiego cenienia sobie owoców Mszy świętej, znajdowały się tylko w dawnych wiekach. Owszem, i dzisiaj spotykamy przykłady wielkiej pobożności i dowody miłości dzieci względem rodziców.

Oto następujący przykład:

Pewnego dnia w miesiącu październiku 1915 roku siedziałem w kancelaryi parafialnej u św. Floryana w Krakowie i byłem zajęty załatwianiem rozmaitych spraw. W kancelaryi znajdowało się kilkoro ludzi. Wtem wchodzi dziewczynka, uczennica szkolna, i staje skromnie koło drzwi. Zaczekała chwilę, a gdy ludzie wyszli, zbliża się nieśmiało do stołu. Zapytuję się jej spokojnie:

— Dziecko, czego sobie życzysz?

— Proszę Księdza, przyszłam, ażeby tatę zapisać do Związku mszalnego!

— Dobrze! A gdzież znajduje się ojciec i czem się zajmuje?

— Oj, proszę Księdza, tata mój umarł już przed dwoma laty; był piekarzem w Andrychowie i nazywał się Franciszek Janicki. Ja kochałam i kocham zmarłego tatę i dlatego chcę go zapisać do Związku mszalnego i w tym celu składam ofiarę dwie korony.

— To bardzo pięknie, dziecko, a kiedy to dowiedziałaś się o tem, że do Związku mszalnego można zapisywać osoby zmarłe?

— Przed dwoma tygodniami przyszłam na Sumę do kościoła św. Floryana i właśnie Ksiądz mówił o Związku mszalnym. Wtenczas to postanowiłam sobie zapisać do tego Związku mego kochanego, zmarłego tatę. Zapragnęłam bowiem, ażeby on miał udział w owocach stu Mszy świętych, które odprawiać się będą zawsze za tych wszystkich, którzy są zapisani do Związku mszalnego.

To mówiąc położyła na stole dwie korony.

— A skąd, dziecko, wzięłaś te pieniądze i gdzie mieszka twoja matka?

— Moja mama mieszka w Andrychowie, ja jestem na stancyi w Krakowie i chodzę do szkoły. Zamiast kupować cukierki i owoce składałam pieniądze, zaoszczędziłam dwie korony i te przynoszę do Związku mszalnego. Niech je Książę-Biskup obróci na budowę nowych kościołów.

Przyjąłem chętnie tę skromną ofiarę; ojca jej, ś. p. Franciszka Janickiego zapisałem na arkusz Związku mszalnego i wręczyłem jej kartę wpisową, ażeby ją posłała matce.

Przed odejściem powiedziałem jej:

— Bardzo się cieszę tem, dziecko, że pamiętasz o zmarłym ojcu i żeś go zapisała do Związku mszalnego.

* * *

To zdarzenie wzruszyło mnie do głębi i uczyniło na mnie wielkie wrażenie. Podziwiam tę czułą miłość, jaką ma ta uczennica dla swego zmarłego ojca! Sądzę, że ten piękny przykład nadaje się w zupełności, ażeby opowiadać go innym dzieciom i dlatego ogłaszam go w tej gazecie. **Ks. Józef Mazurek.**

Wydawca: Ks. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Holeksa.
Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.